

błędnym gwiazdom albo łącznym ognikom, ale nad swoim życiem, co tak szybko wyzbyło się swych łączy, wchodząc w granice strupieszalej martwoży i bezowocnych pragnień.

Patrząc w te młode podniecone postacie, wspominał urywkowo — kiedy przeżywał swoją miłość, wśród takich właśnie narkotycznych rusalek, porwanych wirami w kraje ułudy. Że jak szaleniec Ignął ustami do onych kwiatów oszłomnych, niepomny świata i dróg innych, tą jedną żądzą pochłonięty — zmysłowych uciech. Jak gdyby celem żywota jego było ich ciało, uściski i omdlałość, a często wyzysk tyraniczny... Zwyciężał władzą swego pióra, walczył, póki nie zdobył swej ofiary, wciąż nienasytny i zgłodniały, pewny swej broni niezawodnej. Teatr uważał nie za przybytek Sztuki, ale arenę łowów, gdzie nieci się pokusa i gdzie namiętność czerpie ogień. Rzetelność jego stanowiska, a choćby wreszcie górniejsza miłość — były poza nawiasem jego dążeń; szal zmysłów zabił obydwie i wypenił.

I wszystko przeszło, ubiegło kędyś w dal, pozostawiając na dnie duszy wygasły żwir popiołu. Wprawdzie wegetowało jeszcze ciało, lecz bez krwi zda się i bez istoty życia.

Jak nieogłębny patnik wyczerpał podróżnicze sakwy wcześniej, zanim do celu doszedł. A czy miał w życiu jaki cel, jaką wytyczną drogę? Co stworzył i pozostawił poza sobą? Może może niejedną łzę, cudzą, zawodną, może przekleństwo? Służył nie sztuce i społeczeństwu, lecz tylko zmysłom, sam sobie.

Redaktor Golefi wstrząsnął się niecierpliwie. Przelotne te podszepty aż go dotknęły zimną nagością swojej prawdy. Coraz częściej napadały go takie drażliwe myśli, odkąd zwrócił uwagę, że dobiega ćwierćwiecze jego dziennikarskiej pracy... Zwykle jakiś dojrzały powab życia nasuwał mu wspomnienia i wyrzuty, jak dziś te niespokojne oczy.

Dziwnie obleśnię wodził oczyma po sali, pełnej dymnych obłoków, to znów na jakiś czas zatrzymywał je na jednej wyróżnionej aktorce, swojej pupilce.

W obecnej fazie wystarczał mu już uśmiech łasicowe ruchy, przy słowach ichtających jakąś podniosłą upalnością, jakimi często go darzyła. Żył w nim jeszcze jakiś zapomniany korzonek podtrzymujący czucie, że gdyby nie te zgorzałe lata i nie ta pusika w sercu — kochałby ją żarliwie. Czyby ta miłość była taka, jak wszystkie tamte, nie zastanawiał się poważnie, przypuszczał tylko z uwagą doświadczonego znawcy, że jej siłowo-jasne oczy i nieco smagłe ciało, gładkie jak u pantery albo węży, musi mieć w sobie niewyczerpane moce zawrotnych pieśczoł i wulkaniczne ognie, z trudem, jak sądził, dające się okiełznać i opanować przed szaleństwem.

Miał ją w żywej pamięci z kilku teatralnych występów i to dawało mu pojęcie — jak rozporządza sobą jej namiętność... Była w zupełnym typie jego kobiet o mocnych, rafinowanych haszyskach swojego ciała, z którego zda się wiała dzikość i nieposkromione żądze.

Wiedział, że ją za późno spotkał na swej drodze, że te kuszące i linezyjne przymilenia to — chytra jej przebiegłość, która w innych warunkach sama by sobie była siecią — lubił się jednak patrzeć na jej syrenią postać, słuchać jej głosu i trwać w tej dziwnej złudzie.

Szczególnie dzisiaj wydawała mu się czarowniejszą i on jakby się młodszym uczuł. Widać włosenne ichtnienie, odczuwane w redakcyjnym oknie, zbudziło z martwych jakąś komórkę jego serca i powołało ją do życia. Jak nigdy jeszcze dotąd, doznał wrażenia — że jest przeżytkiem i życie już po za nim. Że już wiosenne fale nie budzą w nim tęsknoty, — złotej, jak to bywało ongiś, w chłopięcym wieku, nie tej — szalonej, jak w pierwszych latach kariery, ale że niosą żal potworny i zamiast kwiatów — widma. Że wszystko zrywa pęd ku słońcu, jakowaś radość bezgraniczna, — płaciwo sposobi nowe gniazda i wije hymny życiu, wszystko zaczyna nowy żywot, od trawek aż do dębów, od mrówki do człowieka, wszystko powstaje na czyn nowy, jedynie oprócz — niego.

I znów go naszedł rój wyrzutów i to ćwierćwiecze napastliwe. Każde żyjątko daje coś wzamian życia, a on co dał, czego dokonał? — Pisał? Właściwie kłamał i lawirował, jak wyćwiczony pływak, resztę spełniały zaś nożyce...

Cwierćwiecze... Co za ogromny czas! Zbliża się jubileusz... Będą mu składać hołdy, uznania

w dowód zasług, będą mu kłamać — jak on drugim, z próżności, dla zwyczaju, jakby tak być musiało... Poeple like to be humbuged! — jakby to było prawdą i maksymą. Jednak potrzeba było coś uczynić, choć żdźbło złamane wyprostować — czuł, że potrzeba było... A on — nic — nic — przeciwnie, może nie jedno zniszczył życie przez swoje kłamstwo i egoizm.

Szły mu te szepty gdzieś w głąb duszy, lecz ani je odpędzał, ani rozważał z większą skruchą. Były jak sirzepy spadające na jego skrzeple i sumienia, niełeczne jeszcze by móc je odgrzać i poruszyć. Zrodziły tylko jakiś dziwnie gorzki uśmiech na jego woskowej twarzy i z tym uśmiechem patrzył na swoją divę.

Kupowała właśnie od nielelniej, w biednym odzieniu kwieciarki, wiązkę tarniny osypaną kwieciem jak śnieg białym, i bukietik fiołków. Przez jakąś chwilę raczyła się ich wonią, w którą zakłęta wiosna pierwszą swą świeżość niemożliwą, to przytulała do nich usta z wyrazem kokieteryjnej pieśczoły i upojenia, mając prawie przymknięte oczy — tak, jak je zamyka kobieta, gdy widzi usta kochanka pochylające się nad nią, poczem, niby z grymasem czy troskliwością — zaiknęła je za bluzkę.

Uczyniła to z takim prsepysnym wdziękiem i łście rusalczaną pokusą, że spełzły oczy redaktora roznieciły się nagle niepokojącym ogniem.

Olśniony widz szepnął przez zęby jakieś zachwytne słowo czując, że serce raźniej bić mu poczyna i płuća coś rozdyma. Za krótko jednak trwała ta czarodziejska chwila, aby móc głębiej wkraść się w jego uczucie, wreszcie i podziwiana donna, za przykładem sąsiadów i sąsiadek, powstała z krzesła z zamiarem opuszczenia kawiarni.

Z widocznym żalem, że odchodził, obserwował Golefi jeszcze jej ruchy i moment ubierania płaszcza, konstatając po raz zapewne już tysięczny, że jest bajecznie wyrzeźbiona.

I znów ukłony i pożegnania do następnego wieczoru, krzyżujące się spojrzenia i chybocące w mgiełnym dymie groty zaczepki i próśb tajnych.

Najbardziej śmiała pupilka, mijając stolik redaktora, rzuciła mu na ręce bukiet tarniny i w lekkim pochyleniu w jego stronę dodała szepem:

— Niechaj się panu przyśni włosna — — dobranoci!

Zawłoneła go fala silnych perfum.

— Dziękuję pani, — wzajemnie! — odrzekł pospiesznie, mile zaczepką zaskoczony i pobiegł wzrokiem za idącą. Jeszcze przesłała mu spojrzenie od drzwi weneckich i dojrzał jeszcze ostatnie ruchy nóg, które, w jego pojęciu — wykradły kształty i harmonijność niebiańskiej Wenus.

Redaktor Golefi wpatrzył się teraz w marmurowy blat stolika, podumał nad czymś chwilę, w kofcu zwrócił uwagę na kwieciną okiść tarniny. Zdziwił się przytem wielce, jak tak mała gałązka była w możności wydać takie bogactwo kwiatów.

— Ileby tu owadów znalazło nektar i ile tarek dałaby ta gałązka... — podsunęła mu kontemplacyjna myśl. — A tak, stała się strata w przyrodzie...

Pierwszy raz Golefi odczuł barbarzyństwo zrywania kwitnących krzewów gwoili próżnej uciechy. Zrobiło mu się dziwnie żal tej tarniny, że jej skrócono żywot, nie pozwalając na wypełnienie przeznaczonej jej roli. On, co nie myślał nigdy o takich sprawach, co był im obcy i daleki, on dziś to dostrzegł i potępił bezmyślną zbrodnię... Potępił, mimo choć tę gałązkę dała mu ona, podobna bóstwu wiosennemu — dała na sen o wiosnie...

— Niechaj się panu przyśni włosna... — powtórzył w duchu jej życzenie. — Dlaczego akurat „przyśni”? — zaczął się zastanawiać. — Czy w tem znaczeniu — jak młodość starcom, lub jak helocie — wolność? Niechaj się panu przyśni włosna... Ciekawe! Za pomocą tarniny...

Rozważał chwilę to wieloznaczne powiedzenie, choć w gruncie rzeczy było wyrzeczone jak efektowny frazes. Kołował jednak wokół niego i szukał rzeczywistego śladu znaczenia, jakby mu na tem istotnie zależało.

Leżąca przed nim tarnina jęła przez swą wędzną woń nasuwać niby odrębne myśli, niosące się kędyś w zamiejskie pola, a jednak spokrewnione — bo, pośród łąk wizyjnych, przylasków i niw świeżych, które zbudziła włosna,

tam kędy zieleni kwitło i tarnina, tam, jak świeżona bańka — ukazywała się w igrasce postać uroczej jego divy, goniąca płochy niby światełko rzucane lustrem po ogrodzie, bratała się z powstającą tęsknotą, z rojami myśli i błyskotliwych wspomnień... dopóki nie przysłoniła tego chaotycznego mirażu chmura ockniętych zasie wyrzutów, pełna przerażających larw zmarnowanego świerćwiecza...

Redaktor przymknął oczy, jakby w obawie aby ta czarna chmura nie weszła przez źrenice w głąb jego duszy zatruwanej. Skurczył się w sobie i ucieszył, czekając aż przejdzie mimo i rozwieje się mniej groźna.

Zbudził go dopiero kawiarniany płatniczy, oznajmując z sztuczną grzecznością, że — zamykają lokal. Redaktor zwłóknął się niechętnie i, uściwszy rachunek, z wiązką tarniny w ręce wyszedł ospale na ulicę.

Zgarbiony, jakby go gniołło ciężkie bizemle, skierował kroki w stronę swego starokawalerskiego mieszkania, mieszczącego się naprzeciw redakcji. Odczuł teraz szczególnie wyraziście i z dziwnym żalem, że wejdzie w chłodną pustkę pokoju, sam, jak pustelnik, że nie powita go żona, nie ucałuje śpiącego w łóżku dziecka i nikt doń nie przemówi z urokiem rodzinnego ogniska...

Coś mu ścisnęło serce bolesnym kurczem, wywołując na usta jakieś przekleśne słowo. Odrzucił precz tarninę, aliści po kilku krokach zawahał się, wrócił z powrotem, jakby współczuciem przynaglony i podniósł z bruku kwieciną wiązkę. Zimuchnął z niej kurz uliczny, poczem do usi przybliżył w przedziwnym rozrzwinięciu.

— Biedoto... — wyszeptał do niej w duchu. — Dam ci flakonik w postaci szklanki wody na umywalni, którą rdza zżera... Łudź się, że — żyjesz...

Opuścił głowę jeszcze niżej i włóknął się pelen smutku.

II.

Kiedy koło południa redaktor Golefi wchodził do redakcji, zastał w poczekalni młodzieńca o bujnej blond czuprynie i rzadko spotykanych jasno-niebieskich oczach. Nieznajomy skromnie ale chędogo odziany, z plikiem papierów pod pazuchą, powstał z ławeczki i skłonił się z przesadną niemal uprzejmością.

— Pan do redakcji? Do kogo? — zapytał Golefi i przystanął.

— Ja.. chciałbym się zobaczyć z panem redaktorem Goleniem... Mówiono mi, że ma za chwilę nadejść — odrzekł nieśmiało młodzieńiec, podobny z niezwykle świeżej twarzy do jasnego dziewczęcia. Kiedy otworzył usta zdawało się, że jego głos uwiły z aksamitu i przejaśniony błękitem cudnych oczu.

— Ze mną? Czem mogę panu służyć?

Młodzieniec powtórzył ukłon.

— Nie wiedziałem, że mam ten zaszczyt...

— O co więc idzie? — przerwał redaktor zmieszanie interesanta.

— Ja, proszę pana redaktora, przyniosłem właśnie sonety... sonety o wiosnie... — mówił z tą samą nieśmiałością, zapłoniony niby dziewczynka.

Redaktor ruszył niecierpliwie ramionami.

— Sonety? — powtórzył niedbale uśmiechnięty.

— Tak, sonety o wiosnie...

— Co, co?

Widać było, że to niespodziewane zapytanie zatruwożyło poetę.

— No... do pańskiego pisma, jeżeli pan redaktor uzna je za odpowiednie i raczy przyjąć... Pisałem je pod wpływem włosny wczoraj... przedwczoraj... Dziś rano ułożyłem sonet o wschodzie wiosennego słońca... Zdaje mi się, że są to piękne wiersze, nie gorsze, jakie czasem drukują...

Redaktor znów się uśmiechnął, tym razem jakby z odcieniem politowania.

— Wiersze, sonety... Dlaczego pan nie pisze prozą?

Młodzian podniósł na swą wyrocznię błękitne oczy, z których patrzyło jakieś pełne zapytań rozczarowanie.

— Bo jedynie poezya zawładnęła mną zupełnie, że wprost po nocach mi się śni... wszędzie ją widzę, zewsząd przemawia do mnie... Żadna proza nie dorówna poezji, ach — żadna! — odrzekł z zapalem. — Zresztą do prozy nie uczuwam jakoś pociągu... — dodał po chwili.

(Dokończenie nastąpi).